

KAMENA

MIESIĘCZNIK
LITERACKI

ROK IV

NR **3**

ROK IV **KAMENA** NR 3 (33)
MIESIĘCZNIK LITERACKI
LISTOPAD 1936 R.

TRZEŚĆ NUMERU TRZECIEGO:

STEFAN NAPIERSKI	Pożegnanie młodości	str. 57
MIECZYŚLAW JASTRUN	Ziemia	„ 65
STANISŁAW WYGODZKI	Portret	„ 65
OLGA DAUKSZTA	Dzikie łabędzie	„ 66
ANNA CHROMIŃSKA	Smutek	„ 66
ADAM BIELECKI	Z cyklu „Wschody“	„ 67
ARTUR RZECZYCA	W dłoniach	„ 67
WIKTOR GWOŹDZIEWSKI	Jesienią	„ 68
ALEKSANDER MESSING	Podróż	„ 68
PAUL VALÉRY	Fragment Narcyza	„ 69
JÓZEF KULUNDZIĆ	Wagon zakaźny	„ 70
CHARLES CROS	Niezależność	„ 77
STEFAN NAPIERSKI	Przegląd poezyj	„ 77
	Kronika słowiańska	„ 79
	Noty	„ 80

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

Idziemy...

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniewski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezeki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr.
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (niebieskim). Numer okazowy „Kamena” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

Opóźnianie w płaceniu prenumeraty powoduje opóźnienie w wysyłce pisma ze względu na wysoką opłatę pocztową numerów jako druków.

CENA NUMERU 60 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



K A M E N A

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK IV LISTOPAD 1936 R. NR 3 (33)

CIENIOM IGNACEGO DASZYŃSKIEGO,
WIELKIEGO BOJOWNIKA O POLSKĘ I SPRA-
WIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNĄ, HOŁD SKŁADAJĄ
REDAKCJA I WYDAWNICTWO „KAMENY“

POŻEGNANIE MŁODOŚCI

„Wiek męski, wiek kłęski“...
(A. Mickiewicz)

I

Tych wszystkich — a jest ich legion: zawistnych, niechętnych lub w mniemaniu swym skrzywdzonych — którzy przedwcześnie triumfowali, że Słonimski „skończył się“ jako poeta, których przekonać nie zdołały liryki oraz wiersze publicystyczne, drukowane kolejno na łamach „Wiadomości Literackich“, niezawodnie zaskoczyć musiał, jeśli są bezstronni i wrażliwi, ostatni jego tom poetycki, skupiający utwory z lat bez mała dziesięciu. Zbiór ów — to rekapitulacja niejako, finał i wydzwięk mijającej młodości, ów zenit, w którym przełamuje się dotychczasowy twórca, by oswobodzić się od mar przeszłości, by się z nimi uporać, by je przewyciężyć lub ulec pokonaniu przez nie. To moment przełomowy dla poety, moment południa: dojrzałości.

„Okno bez krat“... Kto zna wszechstronną działalność pisarską Słonimskiego, pełną pasji aż do zachłyśnięcia, entuzjazmu, naiwności i sceptycyzmu, temu nie obca będzie zawartość tych trzech wyrazów. Dla Słonimskiego, przypuszczać można, jest to jak gdyby wyrwanie się na wolność za pośrednictwem poezji, na wolność poza tym dla niego niedostępną w epoce, kiedy wali się świat wczorajszy, z którego wyszli ludzie jego pokolenia, tłocząc ich gruzami, a w męce, przemocy straszliwej, bezustannej walce powstaje ład nowy, ledwo mający, wstrząsany skurczami porodu.

W tych kilku słowach tytułowych mieści się cały tragizm tego liryka: poezja jest dlań bowiem, niestrudzonego bojownika o najprostsze prawa człowiecze, jedyną drogą ku swobodzie, której czepia się resztką sił, zachwycony i razem zdesperowany. Jest to również nigdy nie opuszczająca go żądza wyłamania okna ku strefom wyższym, czy choćby bardziej godziwym, gdzie każdy pierwszy lepszy z brzegu, gdzie byle jaki człowiek mógłby poczuć się sobą, niespętany siecią administracji, idej obiegowych, nakazów, kłamstw konwencjonalnych i zakazów. Jest to wreszcie — a to przebija przez całą jego lirykę — ów wymarzony i zawsze z jednaką tęsknotą wspomniany kraj dzieciństwa, ku któremu nawraca wzrokiem pełnym rozrzewnienia, powrót ku źródłom własnej osobowości, ku tym źródłom oczyszczającym i krzepiącym, w których zdarty przez walkę, przeżarty wewnętrznym ogniem entuzjazmu, pasji i nudy, zanurza się raz po raz, by się wzmóc na siłach, dorosły mężczyzna.

Szczupły, lecz wyjątkowo treściwy tom, ozdobiony pełnym smaku drzeworytem Janiny Konarskiej, zawiera 45 utworów. Niepodzielony przez autora na cykle, pragniemy — gwoli bliższej analizie i charakterystyce — w sposób dowolny nieco rozbić na szereg partyj, zarówno ze względu na jakość wierszy, jak ich rodzaj. Książkę otwiera utwór zatytułowany „Odwiedziny poety“, pięć strof, a raczej stanc, o budowie neo-klasycznej (5+5, ostatnia linia mieści tylko człon pierwszy); z tą zwrotką parnasowską kłóć się nieco stosowane, zresztą dyskretnie, niepełne rymy (typu: „brzeżku — zmierzchu“); zastanawia krótki oddech tego poemaciku, ładnie lecz trochę zdawkowo wystylizowanego („burgund szacowny“), pewna zastygła akademickość, słowem. Z wierszem następnym wkraczamy in medias res zjawiska, które — z przekąsem lub uznaniem — zwykło się zwać „słonimszczyzną“ Na czemże ona tu polega? Naszym zdaniem wiersz ten, brany oddzielnie, należy do najslabszych zbioru, chociaż ów gatunek właśnie zyskuje autorowi największy rezonans; w utworach podobnych usiłuje on pełnić „służbę społeczną“. Jest to świetny artykuł publicystyczny, średnio rymowany, pomimo typowej dla poety rytmiki pisany raczej tokiem prozy, czyli tokiem fałszywym, wsparty w gruncie rzeczy o oklepankę dziennikarską, tyle tylko, że niepopularną w prasie oficjalnej. Zajmujące jest zwolnienie rytmu w kilku strofach (10-zgłoskowiec zamiast 13-zgłoskowca, umiejętnie stosowany), skądinąd doskonale znane z poprzednich tomów; nie jest to, zresztą, efekciarstwo, jak sądzą niektórzy, ni chwyt stylistyczny tylko: nie, to zmiana oddechu, gdyż wszystkie poezje tego au-

tora, nawet najbardziej zewnętrzne, sycone są zmiennym i fałującym wzruszeniem. Wiersz ten, jak zwykle rymowana publicystyka Słonimskiego (by nie wspomnieć o nierymowanej) posiada dużą nośność. Sam styl jest tu zmacony. Spotykamy choćby „woń smakowitą“, typ epitetów, które Słonimski tępi u innych w rozmowie prywatnej (informacja z doświadczenia osobistego). Moglibyśmy wobec tego przymiotnika zastosować ulubioną autorowi metodę pokpiwania; nie uczynimy tego, nie dlatego, iż nie jesteśmy do niej zdolni, lecz że uważamy ją za nie dość godną; stwierdzimy natomiast, że Słonimski w wielu wierszach poprzedniego i obecnego okresu używa gatunku stylu, który nazwalibyśmy „stylem górny“, umownym, podobnie, jak w *Comédie française* od stuleci recytuje się w pewien ustalony sposób wiersz racinowski, ulegając złudzeniu, że w wieku XX dla poezji tego typu nieodzowny jest język specjalny. Stąd nadużycie podobnych epitetów. „Kołysanka“ z kolei łączy w jedno i stapia uczuciowca i pamphletistę (u dna jest to tym samym). Kombinacja miar metrycznych, żonglerskie niemal przierzucanie nimi, to „inowacja“ przez Słonimskiego dawno wprowadzona i dzisiaj gruntownie przebrzmiała. Trzeba to stwierdzić szczerze; kombinacja ta skłócona jest w samej swej istocie zasadniczej: poplątanie miar klasycznych, czy choćby tradycyjnych z wierszem wolnym stwarza w rezultacie typową hybrydę, rodzaj popisowy, lecz, pomimo elegancji, barbarzyński. Znany z kronik niezłomny pacyfizm, humanitaryzm zbyt uproszczony, stwarza w treści swej wiersz, unoszony napędem demagogizmu, do którego skądinąd zmusza Słonimskiego bezustanna walka o wartość idei dzisiaj głęboko niepopularnych. Razi nas tutaj sztuczna prostota, odpowiednik wspomnianego wyżej „stylu górnego“, niepozabawiona, podobnie, jak on, wyrachowania i afektacji. „Bajka“ w chwili, gdy się ukazała, budziła zachwyt dość powszechny u mniej krytycznych czytelników. Jest to w samej rzeczy kicz, pełen deklamacyjnego rozczulenia, któremu — budząc aprobatę intelektualnego pospólstwa — zbyt często ulega ten nie dość udyscyplinowany elegik. Spotykane podobnie jak uprzednio zmienne spęcia rytmiczne, a przy których w sposób symptomatyczny i godny lepszej sprawy trwa tak uporczywie poeta, to jedyna dyscyplina, jaką sobie narzuca. Styl obniża się; autor nie gardzi epitetami z gatunku „purpurowo-grzywy“ (koń z bajki); tu już przemawia przezeń tylko rutyna; opisowy dialekt, jakim w niektórych, najbardziej wziętych swych wierszach, jest Słonimski, nie chce pojąć tej prawdy elementarnej, iż liryka (od czasu Safony choćby) jest sztuką insynuacyj,

a nie przesadnego dopowiadania. A przecie nawet tutaj spotykamy zdania (zakończenie strofy czwartej) bezpośrednio prawdziwe, spontaniczne, dotykalne, wstrząsające. Przy końcu poeta apeluje do małego chłopca, by odnalazł w następstwie „słowa magiczne (podkreślenie nasze), te słowa, które mimo wszystko tak rzadko dostępne są Słonimskiemu, za którymi tęskni bezustannie, przystając raz po raz i cofając się jak przed widmem u progu czystej poezji. „Mróz“ jest ładny, lecz błahy; to jakby wiersz „albumowy“, z którego nie zostało nic poza powściąganą swadą, poza samą nienaganną dykcją. „Znużenie“ znów pisał elegik, którego dobrze znamy; marzeniem drzemiąc w wagonie powraca w dzieciństwo; lecz wędrówka lat męskich wiezie „z samotności w samotność“; tu autor pragnie nie tylko już rozczulić, lecz nawet budzić współczucie, i — pomimo wstawek mechanicznych — poniekąd mu się to udaje. „Romans astralny“, najdłuższy z wierszy tomu, niezależnie od pojedynczych ładnych i trafnych w wyrazie, a nawet silnych ustępów, wydaje się nam w całości poroniony. To mimowolna odbitka dawnych lepszych wzorów, przedruk z matrycy nieco zmienionej i bardzo zatartej. Rażą szablony myślenia, myśli-bańły, myśli-trupy; przejmuje, jak zwykle u Słonimskiego, rytm wzruszenia, przyśpieszony, to znów zwolniony, a niekiedy zawieszenie jego jak oddechu. „Późna wiosna“ — to wiersz pomimo wyrazności, ulotny i niepochwytny, tą niepochwytnością, jaką zaznaczył niegdyś Iwaszkiewicz; utwór bardzo osobisty, rozdzierający mimo chłodu; bo jakże wiele chłód taki ukrywa swą oschłością, jak w pozornej obojętności pulsuje; czyżby nieprzyznaniem się do klęski? „Na śmierć poety“ Majakowskiego, jeden z najsłabszych wierszy w zbiorze, pisany gwoli reprezentancji („aby i mego głosu nie zabrakło“), podobnie, niestety, jak drukowany przed rokiem z okładem na łamach „Wiadomości Literackich“ wiersz innego wybitnego liryka, Tuwima, po śmierci marszałka Piłsudskiego. „Rosjanka“ posiada jedną strofę uroczą (czwartą); powstała jako margines podróży poety do Rosji sowieckiej. „Litory“ — część pierwsza do strofy ósmej włącznie piękna i bezpośrednia w swej odpominanej anegdotyczności, poczem reszta się płacze: autor nie wiedział, jak wybrnąć, wadliwie, słowem, rzecz skomponował, czy też nie starczyło mu natchnienia. „Młodość“, nienajlepszy może, lecz znamienity utwór, w którym poeta przeżywa boleśnie katastrofę swej dotychczasowej postawy — lirycznej i rebeljanckiej — wobec rzeczywistego świata. „Protokół“ (drukowany niegdyś w „Cyruliku“) bynajmniej niekabaretowy: imponuje w nim wspańiała odwaga cywilna paszkwilu, który, niestety,

jest zarazem czymś w rodzaju rzeczowego reportażu. „Pieńko i niebo“ — wiersz, który, jeśli chodzi o jego zawartość treściową i ton uczuciowy, mógł być powstać w epoce pierwszych książek Darwina i młodości Augusta Comte'a, wiersz zatem gruntownie anachroniczny „Annopol“ uważamy za pomyłkę pomimo siły wyrazu. „Ślad“ — bardzo ładny, lecz w podobnym gatunku mieliśmy przed laty wiersze bardziej przekonujące. „Skrzydła“ — pierwsza strofa mistrzowska, znamienne wyrażająca dla Słonimskiego właściwy mu stan odrętwienia, narkozy, półuśpienia, kiedy to poeta — człowiek samotny — budzi się z ciężarem snu na ołowianych powiekach, z gardłem wyschniętym, z goryczą na spalonych wargach, z językiem bełkocącym ciężko w ustach: dlatego tak bywa pełen swady, iż nie pozwala językowi temu samowolnie wygłaszać splątanych prorocत्व (nie zapominajmy, że jest z pochodzenia semitą, podobnie, jak niżej podpisany). „Rozmowa z poetą“ (tak mógłby nazywać się cały tom) — wiersz końcowy, to ostateczne przyznanie się do klęski; poeta nazywa się „niepotrzebnym“; jest to tragizm bezdziejowości Słonimskiego, chociaż określenie to wydać się może paradoksalne w zastosowaniu do liryka tak tematycznie aktualnego. Oto jest „wiek męski, wiek klęski“. Mija, minęło dawne upojenie, następuje tym straszliwsze otrzeźwienie wobec rozpasania narosłego świata. Słonimski bowiem, jeden z głośniejszych poetów polskich doby współczesnej, jest w gruncie rzeczy samotnym indywidualistą; ten niestrudzony publicysta nie dość jest uspołeczniony; zaprzeczyć się nie da, że w jego postawie bojowej przekornego „sprzeciwu“ („i proszę zapamiętać, że ja byłem przeciw“), jest sui generis heroizm; lecz równie wiele krnąbrności. Skąd się ona bierze u tak inteligentnego pisarza? Czyżby nie stąd, iż ponosi go to, co katechizm zwie grzechem pychy; iż nie zdoła on — pomimo odwagi samotniczego myślenia — w mierze dostatecznej z rzeczywistą odwagą, która niewątpliwie musiałaby być bezczelnością duchową wysokiej próby, konfrontować samego siebie w trudzie codziennym z bezustannie formującym się światem, że, słowem, niedość wnikliwie poeta ten siebie weryfikuje? Poprzestaje „na micie własnego dzieciństwa, na „kraju lat anielskich“, z którym niezgodny jest — gdyż zgodny być nie może — świat obecny, kraj lat męskich. Ta bezdziejowość, jak ją nazwalibyśmy chyba nie bez umotywowania, wstrząsa nami do głębi; lecz ci, którzy nadchodzą i poczynają nas luzować, od postawy takiej odwracają silniejszy może, a na pewno prostszy wzrok. I to jest największa klęska Słonimskiego jako poety i człowieka.

Nie omówiliśmy dotychczas połowy nawet wierszy tomu; uczyniliśmy to celowo: niektóre z nich opuszczamy wogóle, jako ładne wprawdzie, a nawet poniekąd wartościowe, lecz mniej istotne, gdy chodzi o zasadniczą charakterystykę ostatniego okresu autora jako poety; inne poddamy analizie obecnie, gdyż w przeglądzie naszym — z konieczności sumarycznym — usiłujemy kroczyć wraz ze Słonimskim linią wstępującą, by dotrzeć do szczytów obecnej jego liryki. I otóż wiersz „Niemcom“ wywodzi się z tej samej tendencji, która niegdyś, przed laty kilkunasty, kazała mu w formie stroficznej umiejętnie podrabiać Teofila Gautier (jego „Sztukę“), tendencji łączącej chłód, dźwięczność i patos. Objawem tendencji tej w zbiorze niniejszym jest omawiany już z początku wiersz wstępny („Odwiedziny poety“) oraz, w pewnej przemianie, „Niemcom“. Mamy tu publicystykę wyniesioną na poziom retorycznej wzniosłości, z rodzaju tej, jaką przez całą długoletnią twórczość uprawiał Wiktor Hugo, poeta niewątpliwie bliski Słonimskiemu. Autor bierze tu w obronę wolność myśli ludzkiej, broni w osobie Archimedesza wiecznotrwałej godności wiedzy przed najazdem zamierchłych barbarzyńców i tych, którzy nadchodzą dziś lub nadejdą jutro. Jest to zatem coś w rodzaju przypowieści; finał jest znamienne tragiczny: poeta odrzuca ostatnie złudzenie, głosi, jak eklezjasta, znikomość wszystkiego, spowiada się w zdaniach nadto poprawnych, w których nie znać rozjątrzonego serca, z nihilizmu. Tą nienagannością próbuje jakby zagłuszyć, zamaskować nurtujący go dogłębnie niepokój. „Matko Europo“ to wzniosły i bolesny persyflaż, skądinąd częściowa trawestacja wiersza „Do matki Polki“, która Zawodzińskiego zaprowadziła na fałszywe, zdaniem naszym, ślady, każąc mu widzieć w autorze „Parady“ kontynuatora linii miciekiewiczowskiej. W podobnych wierszach Słonimski zdradza typową postawę inteligentką, i nie trzeba być marksistą, by wyprowadzić z tego dość daleko prowadzące wnioski. Jest szlachetny, lecz zarazem przekorny („...a w republice będę wielbił króla“..). Trudno bowiem wyobrazić sobie Słonimskiego w świecie, który by zrealizował jego postulaty, podobnie, jak Heinego; pragnąc liberalizmu, a raczej nawrotu do niego, nie zdaje sobie najwidoczniej sprawy, że tenże liberalizm doprowadził wreszcie do własnego swego bankructwa: poprzestaje, słowem, na objawach, przynajmniej w wierszach swoich, rzadko kiedy schodząc do przyczyn. „Powrót do natury“ przypomina te upajające dawne liryki Słonimskiego, które wszyscy, jego rówieśni, znaliśmy ongi na pamięć.

Pierwsze cztery strofy są nadal zachwycające: jest w nich akcent prostoty i szczerości ludzkiej nie do podrobienia, jest w nich naprawdę serce czułe, tające jak воск; nawet pewne zwroty staroświeckie, zlekka stylizowane („Czy obok na poduszce czyjąś marzysz głowę...“), nawet rymy naiwnie-wymyślne typu: „terji-loterji“ w tamte, dawno ubiegłe, powracają nas lata. Lecz — „to są stare marzenia“; odżęgnywa się od nich poeta i... poczyną składać słowa wyborną rutyną zamiast zaufać nadal natchnieniu; zatem czytelnikowi pozostaje w wyniku skłócone wrażenie. „Nokturn“ posiada strofy bardzo piękne, obawa snu, jak zapadni, tak znamienna psychicznie dla tego poety, znajduje tu wyraz przejmujący; podobnie poczucie obcości, wyodrębnienia, niezwalzonego osamotnienia w najtkliwszej nawet miłości; ostatnia strofa—to czysty liryzm, ton, przed którym tak niesłusznie broni się Słonimski. „Warkocz Bereniki“—to utwór zimny, poprawny, nieskazitelny; wstydlivość uczuć, skrytość serca, charakteryzująca każdego wielkiego liryka, każe tu Słonimskiemu tworzyć strofy tak niepokalane, że aż obojętne. Zbliżyliśmy się do wierszy, zdaniem naszym, szczytowych, do kulminacji, do liryki bezwzględnej, do owej najtrudniejszej dla poety, wspomnianej u wstępu, godziny jego południa, do tej godziny, która rozstrzyga o dalszym być lub nie być, która, słowem, jest pasowaniem się o wielkość i z wielkością. Do takich triumfów metody lirycznej Słonimskiego zaliczylibyśmy bez wahania „Pożegnanie Czorsztyna“; jeszcze odrobinę razić nas tu może pewna literackość (owe „leśne kaniony“ nad Dunajcem), lecz całość jest w swym rodzaju manifestacją najwyższej klasy poetyckiej. Wspaniałym, całkowicie zamkniętym, poematem jest z kolei „Noc gwiazdzysta“: bezpośredni tok opowiadawczy, jak w powszedniej rozmowie, sprzyja temu monologowi elegijnemu — monologowi Hamleta — którego Słonimski jest niezrównanym mistrzem; to arcydzieło: zarówno pod względem nasilenia uczuciowego, wersyfikacyjnego, rytmicznego, arcydzieło dojmującą wyrażające udrękę. W „Nocy pochmurnej“ zawarty jest niejako cały „program“ liryczny tego poety; cóż można powiedzieć o trzech strofach tak skończenie pięknych prócz zaznaczenia podziwu? Tu wreszcie widać, kim jest prawdziwy Słonimski-poeta: to pofny elegik, który niekiedy aparatem pojęć, obrazów, kunsztownie regulowanych rytmów, i least non least, hasła stłumić usiłuje uczucia, jak westchnienia, cisnące mu się na wargi, i przybiegające brzmienie melodyjnej harmonii, bardzo gorzkiej harmonii. Podobnie pierwszorzędnym poematem jest „Inwokacja“; w I. strofie, czy raczej partji, znajdujemy jeszcze zdania, które

mówi nie tyle poeta, co retor (Słonimski jest nim również), lecz w następstwie wiersz, uniesiony falą wielkiej wzniosłości i tortury, nieskazitelny w wyrazie, a przecie pełen powściągniętej pasji, zdobywa to, co dane jest znikomej ilości wierszy polskich: ów élan, który nas wraz ze sobą unosi ku konstelacjom, ku ich sądzącemu wyrokowi; zakończenie pomimo odrobiny dydaktyzmu jest jak hamowany płacz, jak szloch, wyrwijący się zpoza zaciśniętych ust, jak rąk bezradne rozłożenie; ecce poeta. „Lustro“, wierszyk maleńki, uznalibyśmy chyba za najpiękniejszy z tomu, gdybyśmy się nie obawiali zarzutu, że takiemu „drobiazgowi“ przypisujemy tak znaczną wagę; lecz jest to wiersz istotnie doniosły i kluczowy niejako dla całej liryki Słonimskiego, a zwłaszcza dla obecnego jej okresu. Te trzy niewielkie zwrotki—to jeden dreszcz, dreszcz skupionej grozy, jakby febrycznie po plecach zbiegający; istnieje taki obraz Jacka Malczewskiego, w którym kobieta klęczącemu mężczyźnie zapuszcza w oczy przymknięte palce, okrutne i łagodne, nie wiedzieć, ku ślepotcie, czy przejrzeniu? Tu oto klęknął poeta i przed pustym zwierciadłem ujrzał — śmierć, twarz własną i obcą, niemal wrogą; tu zdarł z siebie maskę. Myśleć wolno, że tyleż kosztowało go przewyciężenie złożenie tych niewielu wstrząsających słów, co ich wydrukowanie. Takie same dno osobowości oglądamy, przerażeni, w „Chorym sercu świata“; wiersz wolny, trzymany silnie w drżącej dłoni, osiąga tu patos rozdzierający; cierpiący człowiek bez maski bierze dłonią ziębnącą akord półgłuchy, by nie musieć ulec milczeniu; sztuka staje się „falą, co wzbiera“, heroiczną falą ukojenia; w takich słowach przemawia wielki i nieubłagany artysta — nie głosiciel, bojownik, żongler, satyryk, ni apostoł-artysta, który wie, że składamy tylko wyrazy, że zlepiamy jeno dźwięki, w których nie może być wyzwolenia. „Białe noce“ (na tle wrażeń rosyjskich)—wiersz piękny o świetnym toku jambicznym: hołd, oddany Mickiewiczowi, godny go, atmosferze jego młodości, jeden z najlepszych polskich wierszy okolicznościowych doby powojennej (okolicznościowy w znaczeniu istotnym, o którym mówił Goethe). „Hamletyzm“—jedno arcydzieło więcej; oto jak należy, jak winien sam Słonimski pisywać wiersze „aktualne“: to znaczy po prostu dźwignąć je poza zagadnienie ku wartościom ogólnoludzkim, nie zatracając osobistego akcentu; tu tego wszystkiego dokonano w sposób mistrzowski. Skończenie piękny jest również „Koncert skrzypcowy“: najwyborniejsza liryka, oto wszystko, co da się sumiennie powiedzieć. „Nie wołaj mnie“—to ów szept przenikający, o którym gdzieś wspomina Słonimski: wiersz dojmująco tragiczny, streszczający powołanie prawdziwego poety.

To wszystko; to bardzo wiele; Słonimski żegna się z młodością; dojrzały w pełni, zawsze jeszcze nie pojednany ze światem i ze sobą, może znów nam po latach ofiaruje tom wierszy. Formy poezji ulegają zmianie; lecz to będzie po prostu poezja. Poezja, która przyznaje się do klęski i jedna nas z sobą poprzez tragiczny w istocie triumf sztuki.

STEFAN NAPIERSKI

Z I E M I A

Wilgotne źleby, ścieżki bliskie
Wiodły mnie polem zaoranem.
Widziałem w mroku nad urwiskiem
Korzenie z ziemi wyszarpane.

Spadały w jar filary, przewał
Grzmotu lecącej w przepaść ziemi,
Gdzie bełkot wody noc rozziwał
Pod sklepieniami nawisłemi.

Jeszcze tam stoję w pustce polnej
Urojonego nieboskłonu,
Stopami czując ruch powolny,
Czarne czołganie się zagonów.

MIECZYŚLAW JASTRUN

P O R T R E T

Z witrażu twarz. Darząca dłoń,
gołębi wzrok, różana skroń
i zamyślenia cień na wargach—
ból i skarga.

Smętnicy krok. Z fałdów szat
na pylny szlak wiew prochu padł
i chód powolny—chód wędrowca
niosącego owcę.

Schylony grzbiet. I pośród drzeń
przemierza noc, zgadując dzień,
łagodny fiolet, lekki błękit,
szmer podzięki.

A w słowach co? Przeczucie łask,
aniołów szept i niebios blask.

A serce?
Mordercy.

STANISŁAW WYGODZKI

DZIKIE ŁABĘDZIE

Dzień jest dzisiejszy jedyny. Dzień, który nigdy nie będzie...
Dzisiaj ze Szwecji leciały nad Rygą białe łabędzie.
Obłoki lekkie i srebrne płyną i płyną nad miastem,
lecz wiosen mych siedemnaście zdaje się ciężkim balastem.

Nad Rygą białe łabędzie wieją szafirem i fiordem,
zegary stare na wieżach biją odrodzeń akordem.
I na ulicach przylaszczki sprzedają Iłgi i Mildy,
lecz wiosen mych siedemnaście chodzi w pancerzu Brunhildy.

Dzień jest błękitno-liliowy, przylaszczką kwitnie i wzrasta,
dzisiaj mnie cicho spytano: — Czy możesz pokochać Fausta?
A gdy mnie o to pytano, stałam się trwożna i dzika,
bo wiosna mówiła do mnie w łabędzim, mocarnym krzyku.

Więc opuściłam ramiona i stałam długo nieswoja,
bo czułam, jak na mych barkach Brunhildy spoczywa zbroja.
A dzień był taki wiosenny. Takiego więcej nie będzie...
Z Norwegii, z Szwecji, z Islandii leciały dzikie łabędzie.

OLGA DAUKSZTA

S M U T E K

Dużo w pokoju jest mebli:
Szafy, kanapa, stoły.
I tylko smutek powszedni
Nigdzie się zmieścić nie zdoła.

Smutek jest mały jak kamyk,
A tak się ogromnie rozrasta,
Że nie pomieszcza go ściany,
Że już nie wystarczy mu miasto.

Otworzę szeroko okna —
Może go chytrze wystraszę?
Smutek szeroko się rozparł
I chmurą księżyc zagasił.

ANNA CHROMIŃSKA

* * *

(Z cyklu „Wschody“)

Wschodów nie oglądamy, mieszkańcy łatwych miast.

Zastajemy wygodne światło i gazety.

Z dniem gotowym i obcym, jak pieniąż w portfelu, wkraczamy co dzień do biur — Zdarza się: któryś z nas zrywa się o godzinie nieznanej i błądzi po zakamarkach domu bładych i zmienionych, aż znienacka zza szyby błuźnie na niego krwią kraj dziwaczny, rodzący z krzykiem, ołowiany, ochrypły strzępami chmur — już opłynięty mgłą snów coraz bielszych, rannych.

Czasem fotografia lub opis przypomniany nagle z lekcji szkolnych.

Mieszkamy tu. Nie miasto rodzi słońca i dnie.

ADAM BIELECKI

W DŁONIACH

dolina którą zastał ziemisty indyjski róż

niesiona oparem w górę na szubach stanęła drzew
kosmatych

spodem szklane przemieniają się przestrzenie

w lewo w prawo mijają się lecz

ujął je magiczny krąg

a górą

niebo ślepe się chmurzy

to okolica którą uderzeniem pięści

strąciłem z moich oddechów

i już słońce słońca pełno się rozlało

kołami krąży nurt

jak lekko

pochyliły się chorągwie dymów

przed jego chwałą

pulsuje gleba

trzepotem ptaków nakryta

koniu pomknij

tą smugą

wprzód wybiegłą jak skoku łuk

drogą

lśniącą jak metal

wytrysną z mego serca

gdzie blask jak otwarte ramiona wita

ARTUR RZECZYCA

JESIENIA

W obłokach uciekł księżyc
ponad bezlistne drzewa!
We krwi barbarzyńskie
rozniecone pieśni —
światlisty poszum śpiewa!

Przez wargi niebem spierzchłe
radość żujemy surową!
Bryzą nam w oczy wiatr
Nową Wiosną:
pachnącą szumem Trwogą!

Zburzone mamy włosy
myślą, oddechem głębokim!
Niebo mistycznym wychłostane
buntem: --
Śpiewajmy ku obłokom!

WIKTOR GWOŹDZIEWSKI

P O D R Ó Ź

Szorstkim zapachem zmęczenia w ciepłe ośmioleczne czoło
[pieszczot już nie wetrzesz.
Dawniej, ojcze, płynęła ruda rzeka w drzewne mięso tratw,
kołysały się dymy, białe liście żagli na półślonym wieczornym
[wietrze,
kiedyś zbierał jak ja teraz opalone uśmiechy tych lat.

To podwieczór: srebro mew, świeże ku Heubudzie tratwy
czerwony jak cegła holownik wiatr pruć.

A pod domem dziewczęta zrywały przyszłość zielną z gałązek akacji.
A tyś, ojcze, miał oczy dla mnie—jakby dalej niesione ku matce,
wiosłowałeś — a ja byłem sternikiem, miałem trąbkę i twój
[duży deszczowy płaszcz,
a krany portowe rosły, przecinały krzyżami zachód.
Profile stalowych baszt...

Na Motławie śpiew wody zielonej w rytm komendy wioślar
[skich osad
Podpływały brązowe łodzie pełne śmiechu i dziewczyn pod most
a słońca ostatnie spojrzenia po gałązkach zbiegały boso,
gdyśmy razem wracali przez skwery, idąc w wieczór podmiejskich
[szos.

ALEKSANDER MESSING

FRAGMENT NARCYZA

Błysnąłeś, celu jasny, mojemu biegowi!

W ten wieczór, jak ku źródłu lot jelenich trzód
Nie staje, aż opadną pośrodku sitowi,
Ma tęsknota mnie rzuca nad brzegami wód.
Lecz, aby zaspokoić tę miłość dziewczęzą,
Nie tracę wargi mymi w falę tajemniczą.
Nimfy! jeżeli mnie kochacie, śpijcie jeszcze!
Najłżejszy duch w powietrzu budzi wasze dreszcze;
Nawet, w swojej bezsile, z ciemnych lećąc szczytów,
Jeżeli liść tułaczy na zwierciadła padł,
Wystarczy, by rozerwać cały śpiący świat...
Snu waszego potrzeba dla moich zachwytów;
Spłoszy je szelest puchu, który w wodzie tonie!
Zachowajcie-ż na długo to lice w zasłonie,
Które bóstw nieobecność, jedyna, rozumie!
Śnie ruszałczy, niebiosą, patrzcie zawsze ku mnie!
O śnijcie, śnijcie o mnie!.. Bez was, źródła zwiewne,
Ma uroda, ma boleść byłoby niepewne;
Tego, co mi najdroższe, szukałbym daremno,
Zdziwiony ciała swego czułością tajemną,
I me smutne spojrzenia, mych kras nieświadome,
Dla innych, niżli dla mnie, byłoby widome.

Wyście czekały może na lice pogodne
Wy spokojne wśród kwiatów i liści, wy chłodne
I na zawsze oddane głębiom niewymownym,
O, Nimfy?... Lecz posłuszny zakrętom czarownym,
Które ku wam po uboczach neodpartych biegą,
Zanieście ten piękny odbłask bólu człowieczego.

Szczęśliwe wasze płynne ciała, gładkie tonie!
Jestem sam!... Jeśli bogi i fale i wonie
I jeśli westchnień tyle ciszy nie rozegna,
Sam!... Lecz ten, co do swego zbliża się jestestwa,
Gdy idzie, ku tym brzegom, które liście żegna...

W szczytach wiatr już czystego zaprzestał łupiestwa;
Zmienia się źródeł mowa i wieczór mi głosi;
Wielki spokój mnie słucha, gdzie ja siebie słyszę.
Słyszę, jak trawa nocy rośnie w świętą ciszę,
A już Luna zdradliwa swoje lustro wnosi
Aż w najskrytsze tajniki krynic, które gasną...
Aż w najskrytsze tajniki, których poznać nie chcę,
Aż w ukrytą głęboko, chytrą miłość własną,
Nic nie zdoła się oprzeć wieczornym milczeniom;
Noc szepce, że ją kocham i ciało mi łechce.
Jej głos drży, gdy się moim poddaje pragnieniom;
Prawie, w powiewie, mógłbym kłamliwej uwierzyć,
Tak to rozkołysanie jej mrocznej stolicy
Sprzysięga się z milczeniem wielkiej okolicy.

O słodczy przemożna,—dnia potęgę przeżyć,
Gdy się oddała, wreszcie z miłości promienna,
Jeszcze nieco płonąca, lecz inna i senna,
I tylu bogactwami najczulej brzemienna,
I tylu wspomnieniami, że śmierć z nich ma jasną,
Że, szczęśliwa nareszcie, przykleka w purpurze,
By schylić się, roztopić i zgubić swe róże
I rozplynać się we śnie, w którym zmierzchy gasną.

PAUL VALÉRY

Przełożył Artur Sandauer

W ciepłym futrze jest o wiele gorzej: ciało się wprawdzie ogrzeje, (jak gdyby wątrobę napełniono ciepłym winem, na skórze odczuwa się milion przyjemnych łaskocących ukąszeń drobniutkich pęcherzyków potu pod wełnianą koszulą), natomiast uszy i nos przekształcają się szybko w najcieńsze szkło i gdyby nadleciał — powiedziałbym — jeden jedyny większy płatek śniegu, szkło małżowiny usznej absolutnie by przysło. Tak, w ciepłym futrze jest gorzej: nie ma tych strasznych przeciwności. A tak bez grubszej osłony, nawet bez koszuli, całe ciało wystawione jest jednakowo na twardy skurcz niewidzialnych najeżonych włosków skóry, napiętych w bolesnej przekorze; tylko zima prawie że już nie zadaje bólu człowiekowi, ponieważ w nim nie ma już nic, co by bolało: wszystka krew zbiega się pod samą skórą, by ją ogrzać ostatnim ogniem, aby pozostała elastyczną pod szybkimi ruchami rąk i nóg.

Nieskończone, równe, białe zwierciadło szerokiej płyty ziemskiej, która niedostrzegalnie przechodzi swoimi niespokojnymi krańcami w śnieżny dym, pękło w dwa równe i równoległe cienkie promienie. Między szynami kolejowymi, niezawianymi tylko dlatego, że znajdują się na wyniosłości, którą stale czyści huragan, idzie mężczyzna bez płaszcza środkiem zamieci. Z potrzeby, by w każdej chwili odczuć swoje członki, macha rękoma i nogami, jak ranny orzeł, jak oszalały faun. Z ust, zmarzniętych na sztywny grymas, wydobywa się bardzo słaba para.

To nie jest zima, co praży całą skórę ociemiałemu obłąkańcowi. Niegdyś był on palaczem transoceanicznych kotłów, (tęsknota za ojczyzną mogła się urzeczywistnić tylko za cenę najcięższej pracy na okręcie) i miał właśnie takie samo uczucie,

*) Józef Kulundzić, Chorwat, ur. w r. 1899, rozpoczął swą twórczość literacką od poezji, aby przerwąć się do nowelistyki a skończyć na dramaturgii, której w Jugosławii jest dziś najplodniejszym przedstawicielem. Nowele Kulundzicia poświęcone są tematom społecznym, a głównym ich motywem jest upośledzenie warstw pracujących na rzecz znienawidzonej i wykpiwanej przez autora klasy posiadającej. Jako pisarz dramatyczny Kulundzić hołdował początkowo realizmowi i naturalizmowi, później jednak pod wpływem F. Wedekinda i M. Broda stał się ekspresjonistą. Do najważniejszych jego utworów dramatycznych należą „Dwunasta w nocy”, „Skorpion”, „Twarz Gabriela”, „Tajemniczy Kamić” i „Nie za wiele sumienia”. Wszystkie powyższe utwory przełożył na język polski St. K. Papierkowski.

ilekroć otwierał paszczę oślepiającego żaru kokсового. I ta zima jest jakąś nieskończoną, silną masą cieplną, która przemieniła skórę w niewidzialną jedną ranę. I jedynym lekarstwem na nią są myśli:

— Trzeba wytrzymać. Jeszcze pięć kilometrów.

Stacja Sladojevo.. Trzeci wagon. Z niego delożowano wczoraj rodzinę kolejową i przeniesiono ją do szpitala. Tyfus. Ojca, matkę i ośmioro dzieci z jednego wagonu, który stoi przy torze pod wielkim Bożym niebem. Trzeci wagon, licząc stąd. Z daleka go pozna. Oblany jest cały wapnem przez komisję. Na nim będzie z pewnością czerwona cedułka: wstęp wzbroniony — tyfus! Oh, to dobrze: Wstęp wzbroniony! A więc można wejść bez niebezpieczeństwa!...

Szybko przerwał wesołą myśl i rzucił się wzdłuż wyniosłości nasypu w głęboką masę śniegu. Jak w ciężkiej zawiei, obsypany lodowatymi stalaktytami i upstrzony ciepłymi oczyma żółtawych okien, przemknął pociąg i znikł. Ledwie mężczyzna wspiał się na nasyp, czarny kwadrat ostatniego wagonu od dawna już zmaliał do niewyraźnego punktu.

Mężczyzna szedł dalej między dwoma błyszczącymi pasmami pękniętego lodowatego zwierciadła ziemskiej powłoki.—

— Jeszcze cztery kilometry!...

Gdyby teraz nie spojrzął na swoje nogi, nie wiedziałby, że idzie: coś obcego płące się pod nim i niesie go przeciw wiatrowi, z wiatrem, ponad wiatr, wywija nim w śmiesznym mimowolnym tańcu:

— Jeszcze trzy kilometry!...

W stawach rąk stwardniały połączenia i ręce, owinięte wokół piersi, zeszywniały w metalowe obręcze.

— Jeszcze dwa kilometry!...

Powieki oczu są tak zimne, że same zabłąkane płatki śniegu grzeją je jak ciepłe letnie krople deszczu.

— Jeszcze jeden kilometr!...

Cała świadomość zbiegła mu do zamglonych źrenic, które zeszywniałe usiłują uważać na drogę pomiędzy szynami. Świadomość jest mu zresztą niepotrzebna do niczego więcej. Niesie go wiatr, zima, zawieja, niesie go, niesie...

— Jeszcze pół kilometra!...

Dopiero przed zielonym sygnałem upadł. Nie, tu już nie zamarznie, Ponad blaszanymi kominami wagonów wiatr bawi się czarnym dymem. Należy się powoli wlec po ziemi, do trzeciego wagonu, Jeśli się nawet twarz tarza po śniegu -- nic to — przynajmniej odczuwa się policzki. Jeszcze trochę... Słuchaj! Jakieś dziecko płacze w wagonie. Uwaga! Jakaś kobieta

długo i ciężko kaszle w drugim wagonie... A niedaleko od niego stoi jakiś pijany mężczyzna i klnie wszystkich świętych... Oh, człowiek jest tutaj, żywy człowiek stoi obok niego, oh, jakież to szczęście być żywym, być ocalonym!...

Mężczyzna odszedł, wszystko jedno. Głosy umilkły, wszystko jedno. I dym już nie wydobywa się z blaszanych kominów — wszystko jedno. Gdyby tylko mógł uczynić jeszcze jeden ruch, ażeby powstać, ażeby odepchnąć drzwi oblanego, wapnem wagonu. Nacisnął ciałem drzwi; w stawach poczęły strzelać kości: czyżby jego ręce były połamane?... Stracił wzrok od bólu, ale drzwi!.. drzwi nieco ustąpiły!.. Nie trzeba ich więcej zamykać. Trzeba się tylko wcisnąć... Silny zapach karbolu... Coś miękkiego leży na podłodze... Szmaty?.. Może to łóżko?.. Zakopać się w miękkie przedmioty... jak cudnie grają druty elektryczne na polu i jak są dalekie... I jak cudnie pachnie karbol, o, tak, szczęściem jest być chorym i w gorączce dać się odnieść do ciepłego szpitala, gdzie pachnie karbol...

Ciało jego płonie. Rany się otwierają? O, to dobrze... To znaczy, że szmaty go grzeją...

Twarz jego oblana jest gorącym ługiem?.. O, to dobrze... To znaczy, że ma gorączkę... Nie, on nie zamarźnie, on żyć będzie tam, gdzie karbol cudnie pachnie...

Jak piękne są obrazy oglądane w gorączce! Wszystko, co się wydarzyło, powtarza się w gorących barwach:

— — — Zawiadowca stacji zjawia się cały zielony:

„Pan został zredukowany, panie Spajic, ponieważ należy pan do trzeciej kategorii“... Kasjer jest czerwony i pachnie winem: „Pan został zredukowany, ponieważ trzecia kategoria nie ma stosunków“ — albo: „Czy wy, trzecia kategoria, macie jakie stosunki?“ Magazynier jest żółty i mówi ciężko, ponieważ się przejadł: „Pierwsza kategoria posiada ministrów, druga ma posłów a wy? — kogo wy macie? wy musicie być zredukowani“.

—Mundur kolejowy, który musiał zwrócić państwu, był błękitny jak niebo w lecie; na odebranej bluzie napisał intendent cyfrę „III“ — — — trzecia kategoria...

— — — Kiedy wyszedł przed budynek stacji, na której dwanaście lat służył jako zwrotniczy stacyjny, spojrzął po raz ostatni na budynek: biały był jak śmierć. Poszedł: noc była czarna, jakby spalona, bez księżyca. Poszedł. Poszedł machinalnie, jak maszyna, jak pociąg, poszedł torem kolejowym.

— — — Pierwszą noc przespał w sąsiedniej poczekalni stacyjnej. Próbował o świcie wcisnąć się do wagonu idącego w kierunku głównego miasta. Wyrzucono go: w wagonie tym

znajdowała się zarażona tyfusem rodzina, którą delożowano z wagonu koło stacji Sładojevo.

— — — Od wtedy żył miesiąc po stacjach, po szpitalach, więzieniach, postępując powoli jak maszyna po szynach. Albowiem w więzieniach i szpitalach nikogo w zimie nie trzymają. Dalej, dalej: po szynach...

Czyżby i na jego starym ubraniu cywilnym wypisał intendent kolejowy wielką cyfrę „III“? Bo skądże by poza tym każdy wiedział, że on został zredukowany? Jak gdyby był zarażony przejściową chorobą, od niego, zredukowanej trzeciej kategorii, wszyscy uciekali i usuwali go od życia. Jak gdyby miał tyfus, wypychali go z towarzystwa, pchali go w kierunku jednego miejsca, które było dlań przeznaczone, w kierunku wagonu zakaźnego, trzeciego od końca, na linii obok stacji Sładojevo...

Otworzył oczy i zobaczył nad swoją głową czaszkę obleczoną zielonkawą skórą. Ale czaszka nabrała ruchów żywego stworzenia, skoro się po niej rozlał boleśnie ciepły uśmiezek. Jakaś kobieta mówiła głosem, którego liczne długie bóle karku pozbawiły barwy:

— Dzięki Bogu, przejrzał pan, po trzech dniach... Nikt nie chciał wejść, jakkolwiek słyszeli, że pan wyje w gorączce. Ileż się namęczyłam, nacierając pana. Wiem, pan pracował na sztrece na jednej stacji z moim mężem. Z tym, co to go przejechała lokomotywa ekspresu przed trzema miesiącami, kiedy go tu przenieśli... Pewnie i pana zredukowali. Czy ciepło panu teraz? Ja panu paliłam... Jeszcze dzisiaj mogę panu pomóc. Jutro i mnie będą delożowali, bo nie mam prawa do mieszkania mojego śp. męża. Oskarżyli go — po śmierci — że bezprawnie skierował jeden wagon na ten tor i wprowadził się do niego. To jest, powiadają, kryminał. Dzięki Bogu, że umarł, nie musi przynajmniej odpowiadać teraz przed nimi... Ja się nie boję tyfusu. Żeby go tylko pan nie dostał... Czy pan głodny? Przemocą łałam panu ciepłe mleko z wódką do gardła... Tylko niech się pan w dzień nie pokazuje z wagonu. Obecnie mieszkanie to przebywa kwarantannę, nikt się doń nie śmie zbliżyć, ale za kilka dni przyjdzie z pewnością komisja... Proszę jeszcze trochę mleka... I wszystko moje drzewo panu przyniosłam. I tak będę się musiała stąd jutro wynosić...

Wyszła, zanim Spajic mógł zapytać: skąd i ona wie, że jest zredukowany... I zanim jej mógł powiedzieć, że mu jest ciepło, ciepło.

O, gdyby to nie był zabroniony wagon zakaźny, on by teraz zaśpiewał na cały głos:

„O, jak daleko śpiewają druty telefoniczne...

Jak cudownie pachnie karbol...

Kobiety, która go może uratowała, więcej nie widział. Deleżowała ją komisja, która dalakim łukiem obeszła zakażny wagon. Po trzech dniach, rankiem, wywłókł się Spajic ze swego mieszkania i poszedł w kierunku wsi. Za kawałek chleba wynajmował się do nagonki na zające pańskim myśliwym na cały dzień. Albo też zmiatał śnieg przed domem gminnym, podczas gdy policjant wiejski z powagą palił swoją fajkę lub też czyścił gospodarskie konie, a woźnica spał po nocnej hulance. Późno w noc wracał do swego zakażnego wagonu. A kiedy zapalił w zardzewiałym blaszanym piecu, zaciągnął się pod koldrę przesiąkniętą silnie karbolem, odczuwał, że z jego pleców zmazuje się powoli hańbiące piętno „trzeciej kategorii“, i że i on staje się człowiekiem z prawem do życia, człowiekiem, który posiada swój dach i swoje ciepło i swoje życie. Pokrywał się wraz z głową i coś cicho śpiewał, a jego wilgotne oczy zlewały łzami czarną poszewkę poduszki...

Jednej nocy zbudziło go pasmo światła, które padło na jego poduszkę. Przed jego wagonem rozlegał się zgiełk ludzki, z którego wydzierały się bolesne okrzyki kobiet, przekleństwa mężczyzn i płacz dzieci. Cały strach, który zmuszał Spajicia tygodniami do ukrywania się przed ludźmi, nagle wzrósł do zgrozy. Skoczył z łóżka i przyłożył ucho do zimnych drzwi wagonu. Prawie do samej jego jamy usznej mówił silny i tłusty bas:

— To jest skandal! Jak się czyści te linie? Wejdz, Marieto, przeiębisz się. Zapaść się w taki śnieg i zatrzymać się właśnie przed tymi śmierdzącymi wagonami. Tutaj cuchnie jak ze śmietniska. Idź do wagonu restauracyjnego, duszko, i wypij jeszcze jeden grog... Naturalnie, moja firma nie ma więcej jak ośmset wagonów dziennie do dyspozycji dla eksportu drzewa, ale dykcja daje wagony na mieszkania byle jakim zwrotniczym! Z powodu tych zwrotnicznych nasz przemysł podupada, cały naród cierpi... Ale Marieto, wróć do wagonu, zamów sobie ciepłe wino... ...A cóż jest rezultatem tej tak zwanej socjalnej humanitarności? Proszę, popatrzcie! Te mieszkania w wagonach stają się zakładem wychowawczym dla najniebezpieczniejszych bakterii! Gniazdo zarazy!... Proszę, dykcja komunikacji zatrzymała nas przed wagonem zakażnym. A więc, moja kochana, jeśli się na to nie zwróci uwagi w parlamencie, wówczas ja naprawdę nie wiem, o czym tam należy mówić! A dalej, skoro już każdy zwrotniczny może sobie zabrać jeden wagon na mieszkanie, w takim razie powinno się nad tym prowadzić kontrolę... Proszę cię, Marieto, wejdz do wagonu, przecież ty się

jeszcze zarazisz tutaj... Czy ty sądzisz, że ta branża jest higienicznie wykształcona? I że ona respektuje przepisy lecznicze? Przekonany jestem, że im tyfus wcale nie przeszkadza w tym, by i nadal mieszkali w takich wagonach. Tak, moja droga, z powodu ich całkowitej niekulturalności nie możemy my cierpieć i tracić. Bo ci kolejarze stykają się z publicznością i dostarczają nam miliardów bakcyliów za każdym razem, ilekroć nam przecinają bilet kolejowy... Nie, nie, ja wiem, co to jest piecza socjalna, ale pozwolić, by się w tych wagonach i nadal mieszkalo, a narodowy przemysł żeby cierpiał na brak wagonów, a zarazy się szerzyły, nie, nie, o tym musi być mowa w parlamencie... Tak, właśnie o tym wagonie. Numer 144-82... ten numer muszę sobie zapisać: 144-82, właśnie o tym konkretnym wypadku!

— Ależ, papo, w tym wagonie nikt nie mieszka?. On jest na kwarantannie. Czerwona cedułka...

Jakaś ty czasem naiwna. Ten Maksym Gorkij psuje strasznie naszą młodzież. Ty byś mi oczywiście całą noc twierdziła, że w tym wagonie nikt nie mieszka. Ale proszę cię, spójrz na to czarne koło na śniegu wokół komina. Wczoraj wieczór padał śnieg, a ten sam śnieg teraz, o północy, roztopił się wokół komina. Ergo? Wczoraj wieczór tutaj palono w piecu. Ergo, ktoś tu mieszka.

— Ależ, papo, kiedy przyszła czerwona cedułka, wówczas z pewnością delożowali wszystkich z wagonu. Przecież to nie jest tak, jak w naszych czterestu pokojach, żeby się chory mógł odłączyć! Tu się musi wynieść precz cała rodzina. Czyż nie widzisz, że cały wagon oblano wapnem i śmierdzi karbolem...

— Ty, Marieto, mówisz o tych ludziach, znając tylko ludzi z twego otoczenia, ludzi z pewną świadomością o higienie. Gdybyś ty miała pojęcie, jak dalece są ci ludzie niekulturalni i jak tym swoim brakiem kultury nam, cywilizowanym Europejczykom, uniemożliwiają wszelką pracę na polu postępu, wówczas inaczej byś mówiła...

— Nie będę z tobą, papo, debatować wśród tej rozpaczliwej zimy o rzeczach zasadniczych. Pragnę tylko w tym konkretnym przypadku podkreślić, że w tym wagonie nikt nie mieszka. I że byłych mieszkańców wyrzucono brutalnie na pole...

— Więc dobrze. Doskonała sposobność, bym cię przekonał raz na zawsze. I bym ci udowodnił, że ten twój Maksym Gorkij i Sinclair Lewis nie mają racji. W tym wagonie mieszkają ludzie, o tym cię zapewniam i zaraz ci to udowodnię. Ale uważaj... jeśli w tym wagonie ktoś mieszka, nie wolno ci

wzbronić mi, bym wszelkimi środkami prawnymi spowodował jak najbardziej energiczne śledztwo w tej sprawie. Jak to być może, żeby w wagonie zakaźnym, bez jakiegokolwiek kontroli ze strony władz sanitarnych, śmieli mieszkać ludzie! Musisz mi przyrzec, że będziesz uważać; iż w tym przypadku ja mam słuszość, a nie ten twój Gorkij lub ten twój Jack London. Jeśli teraz znajdziemy tutaj mieszkańców, musisz skapitulować...

— Zwracam ci uwagę, papo, że ja ten przypadek z wagonem zakaźnym znam z gazet. Przed dwoma miesiącami wyrzucono z tego właśnie wagonu całą jedną rodzinę zakażoną tyfusem...

— Więc ty mię chcesz bluffować, Marieto; ty właśnie przypadek z tym wagonem, przed którym ugrzęźliśmy przypadkowo z naszym orient-ekspresem, ty właśnie ten przypadek znasz z gazet! Pozwól—to konieczne!.. Zresztą, oto konduktor... Hallo, konduktorze! Jestem generalny dyrektor Plavić ze Związku Przemysłowców Drzewnych. Podróżuję z komisją dla badania sprawy urządzenia naszej komunikacji. Posiadam polecenie służbowe, by personel kolejowy szedł mi na rękę. Proszę być tak uprzejmym i popatrzeć, czy w tym wagonie mieszka kto... Tak, tak... w tym wagonie zakaźnym...

— Proszę, panie generalny dyrektorze... Konduktor silnym ruchem otworzył zamaznięte drzwi. Z otworu, który się ukazał, wypadł jakiś mężczyzna twarzą na śnieg. Pozostał nieruchomy z twarzą na śniegu: na jego plecach widać było skórę koloru fioletowego, pokrytą czarną koszulą, podartą wzdłuż całych pleców.

Pan dyrektor w grubym futrze z astrachańską czapką na głowie zeszedł dość szybko z wagonu pociągu ekspresowego i nachylił się nad leżącym mężczyzną. Konduktor odwrócił go; było rzeczą jasną: mężczyzna oparty o drzwi i zeszywniały słuchał tak i słuchał i w słuchaniu wyzionął ducha, a teraz trup wypadł z zakaźnego wagonu.

Pan dyrektor wcale nie triumfował, a nawet było mu nieprzyjemnie patrzeć na własną córkę stojącą w ciężkim futrze na najwyższym stopniu swego wagonu ekspresowego.

Ale cudowna kocia twarz jego wonnej córki rozciągnęła się rezygnacją, która podobna była raczej do pogardy; szepnęła:

— Papo, ty masz słuszość!!

I z jakimś uczuciem wstrętu zniknęła w swoim ciepłym luksusowym wagonie.

JÓZEF KULUNDZIĆ

Z serbochorwackiego spolszczył Stanisław K. Papierkowski

NIEZALEŻNOŚĆ

Mieszkać w domu bezpiecznie,
cnotliwie i statecznie --
to pić truciznę wiecznie.

Kto chce żywot mieć truty?
Jestem w dumę okuty,
słyszę młodzieńcze nuty.

Słyszę, jak woda ścieka,
słyszę, jak grom się wścieka.
Sztuka długa, śmierć czeka.

Tym lepiej, że są grzechy,
wino, dziewczęce śmiechy,
pożar i popiół strzechy.

Rodzi się pomiot boski,
żyje, śpiewając piosnki,
umiera się bez troski.

CHARLES CROS

Z francuskiego spolszczył K. A. Jaworski

PRZEGLĄD POEZYJ

Stanisław Piętaś, Ziemia odpływa na zachód
poemat, Warszawa, 1936. Tow. Wydawnicze.

Autor, pisząc, swój chłopski „poemat“, w sposób znamieny i wzruszający poświęcony „bratu Frankowi“, musiał zerwać z wszelkimi kanonami stylizacyjnymi, jakżeż martwymi i papierowymi, które do lat ostatnich obciążały ten rodzaj. Zmuszony był stworzyć całkowicie samodzielnie odpowiadającą materiałowi formę. Opanowanie szerokiej frazy nie tyle jakiego wymagało wysiłku. Z niełatwego tego eksperymentu wyszedł naogół zwycięsko.

U dna tego utworu pozostało coś, co można by nazwać nowelą liryczną, zestawioną z fragmentów. Autor, jak to już czynił uprzednio pod przymusem temperamentu, maluje oddzielnymi plamami, które uzupełniając się wzajem w percepcji czytelnika tworzą wtórnie domyślną całość. Jest tak, jakby ponad ziemią sunęły nisko obłoki, nagle rozświetleniem uwy-puklające smugi gleby, sąsiedni odcinek pozostawiając w mroku, by po chwili nieoczekiwanie odległy, a nie bliski, spłacheć z kolei rozjaśnić. Jest w tym gra światłocienia, płaszczyzny obrzeżoną czernią cienia tworzą kontrast ruchomej plastyki, by niezadługo same w nadspodziewanym blasku się uwydatnić. Poemat w ten sposób rozszerza się i rozrasta warstwami, które są zarazem słojami autorskiej duszy Tkwi on bowiem, zaplątany roślinnie i mineralnie, rdzennie w sandomierskim swym krajobrazie, i podstawowym, genetycznym jego przeżyciem po-

etyckim jest jakby powrót do tej calizny poprzez odpominanie wczesnej, wsiowej młodości. Poprzez to zakorzenienie się w ojcowiznie rozumiałe staje się i sprawdzalne jego patrznie; w oglądzie takim jest realizujący się instynkt prawiekowy, sandomierszczyzną przemienia się w mit, gdyż jego jest krajem, jedyną dostępną mu ziemią, która odplywa na zachód przed nadczuło rozszerzonymi źrenicami. Jest urzeczony nią, jak wizjoner, zakochany w niej gorzko, jak w gwieździe. W tym nie ma nic z podpatrywania, z podchwytywania nieważkiego charakterystycznych, „kolorowych“ i bujnych szczegółów, nic z rozplawienia się w pocieszającej malowniczości detali, jeno zapatrzenie tragiczne w swej urzekającej hipnozie, przykute raz na zawsze, nieodwołalnie skazane na ślepe posłuszeństwo... Źrenice patrzą tak długo i z takim natężeniem, iż oczy, bywa, zachodzą łzami i mętnieje żalu pełne widzenie. To byłaby owa „nieplastyczność“, o którą tak łatwo pomówić Piętaka, chłopą niemalowanego.

Jest przytem w istocie bardzo słowiański przez swą płynność i oddech szeroki, monotonne falowanie odrętwienia, jaki narzuca mu ten, z którego wyrósł i do którego wraca, dymny, mglisty i żalny krajobraz polski. Gadka chłopów naszych, ludzi osiadłych, samorodnie przemienia się im w rapsod, wystarczy tylko od zewnątrz, bez podrabiania ich wysłowienia, bez stylizacji „na ludowość“, zestawić w ciąg elementy opowiadania. To też jest tutaj tylko kronika uczuć i rejestr wypadków, nie ma gwary natrętnej, ni najdalszego echa chłopomanii, na którą ostatnio nie przestają snobować się „ciarachy“, wyrachowani miejscy inteligenci. Obrazy i wydarzenia płyną i przesuwają się tokiem naturalnym jak obłoki i cienie ich wyzbyte dekoracyjności, znakowane, najdalsze opisywactwu. To nowy typ realizmu, nawskroś przesiąkniętego delikatnym, pełnym rozmarzenia i nostalgii wzruszeniem. Cały poemat — to szyfr uczuć.

Urywkowa jego, rwana i wiązana fragmentaryczność przypomina wątki muzyczne, płatane, poddawczo zaniechane, znów podejmowane lub też kształtujące się rozwiewnie zjawy snu. Lecz widziadlaność ta ujęta jest w system, choćby tylko w system instynktu. Jest to popęd twórczy, który dostępuje samowiedzy w samym procesie transformowania obrazów, jak rzeka, która fal rozlewnością do własnego zmierza koryta. Wysilona źrenica wyobraźni chwyta i rzutuje tu zwidzenia i widziadła, anegdoty odrzuca jako przetworzone legendy na wielkie płachty ekranu, gdzie rysują się zmienne wielkimi smugami dni i nocy

STEFAN NAPIERSKI

W Dolnym Kubinie 18 września r. b. odbyło się odsłonięcie pomnika znakomitego poety słowackiego Hviezdoslava.

Z ośmiu tegorocznych państwowych nagród czechosłowackich trzy przyznano poetom: Słowakowi Laco Novomesky'emu za zbiorek „Otworzona okna”, Czechowi Jarosławowi Seifertowi za tom „Ręce Venus” i Niemcowi Emilowi Merkerowi za twórczość liryczną. Słowackie nagrody literackie im. Sztefanika otrzymali poeta Jan Smrek za zbiorek „Tylko oczy” oraz powieściopisarze Józef Branecky i Aleksander Pockoda. Literacką nagrodę miasta Bratislavy przyznano Matuszowi Kavecovi za powieść „Grapy”.

Nakładem „Maticy Slovenskiej” ukazał się tom essay'ów o polskiej literaturze znanego polonisty słowackiego Stanisława Meczziara p.t. „Pożycza a život”. Autor w słowie wstępnym zaznacza, że książka jego ma na celu zaznajomienie czytelnika słowackiego z „szczytowymi zjawiskami literatury polskiej”. Meczziar kreśli w swym dziele portrety literackie następujących pisarzy: Mickiewicza, Krasieńskiego, Słowackiego, Norwida, Tetmajera, Kasprowicza, Berenta, Reymonta, Żeromskiego, Wyspiańskiego i Staffa. Uderza nas tu pominięcie okresu pozytywistycznego i nieuwzględnienie takich pisarzy jak Prus, Orzeszkowa i Sienkiewicz.

„Bibliografia sorbsko-rosyjska 1800-1925—I literatry, II przekłady—to ciekawa praca Aleksandra Pogodina, profesora literatury rosyjskiej w uniwersytecie beogradzkim, informująca o stosunkach literackich między Serbią i Rosją oraz ułatwiająca studia nad wpływem realizmu rosyjskiego na literaturę serbską. — Z książki Pogodina, dowiadujemy się, że autorami najchętniej i najczęściej przekładanymi na język serbski byli: Czechow, Gorki, Lew Tołstoj, Turgieniew, Dostojewski i Gogol. Dzieło, choć nie bez pewnych braków, wartościowe.

W Sofii wychodzi co roku (od 25 lat) znany kalendarz słowiański „Slavjanski Kalendar”. W zeszytce z 1936 r. zamieszczono ciekawy artykuł prof. S. S. Bobczewa o słowiańskiej wzajemności i współpracy. Autor powraca do programu tej współpracy, przyjętego przez kongres wszechsłowiański zorganizowany w Sofii w r. 1910. Jakkolwiek program ten upadł w czasie drugiej wojny bałkańskiej, prof. Bobczew domaga się jego rewindykacji, twierdząc, że w zmienionych warunkach po wojnie światowej problem panslawizmu dojrzał do realizacji. „Nie zapominajmy — powiada Bobczew — że siła i potęga Słowiańszczyzny tkwi w niej samej!”

W Lublanie ukazał się „Przegląd literatury słowieńskiej” Antona Slobodujaka. Autor objął tu całość literatury słowieńskiej od czasów najdawniejszych aż do wojny światowej, a zamknął przegląd analizą twórczości Jusza Kozaka. Dzieło przejrzyste i na ogół zadowalające a jedyny błąd, to zbyt po macoszemu potraktowany okres reformacji, w dziejach literatury Słowieńców bardzo ważny.

Wyszło świeże wydanie, „Jerzego Kosjaka” Józefa Jurczicia (Lubiana 1936). Jurczicz to jeden z najwybitniejszych pisarzy słowieńskich ubiegłego stulecia. Jego opowiadanie p. t. „Jerzy Kozjak” ukazało się po raz pierwszy w połowie wieku XIX, po czym wydane zostało po raz drugi, co było rzadkością w literaturze słowieńskiej ubiegłego wieku. Dziś stanowi to opowiadanie lekturę uzupełniającą dla młodzieży szkół średnich i przemawia żywo do duszy młodzieży. Autor napisał je jako uczeń VIII klasy gimnazjum.

Karol Szirok, mniej znany poeta słowieński wydał tom poezyj p. t. „Kapliczka”, o charakterze wybitnie religijnym i legendarno-ludowym. Zbiorkiem swoim ukazał Szirok nowy sposób wyrazu poetyckiego: prosty a zarazem poetycki.

W BIEŻĄCYM ROKU UPLÝWA 25 LAT od śmierci ks. Antoniego Szandlerowskiego. Nie odbiło to się żadnym echem w pismach literackich. A przecież twórczość autora „Parakleta” nacechowana głęboką niepodrobioną wiarą, szlachetną miłością człowieka, czystością uczuć i nieskazitelnością języka poetyckiego godna jest przypomnienia nie tylko z okazji tej rocznicy. Warto skąpać się w ożywczej krynicy jego listów miłosnych („Confiteor”) do kobiety, którą ukochał ekstatycznym uczuciem anioła, listów, wznoszących się na wyżyny najprawdziwszej poezji. Warto wrócić do liryki tego księdza, który w „Epitaphium” prosi: „Na grobu mego zimny głaz Nie stawcie—krzyża, bo wasz krzyż Wždy prze w błotniska, a nie w wyż... Bo nie jest z Chrysta, jedno z was!..” — a którego Chrystus „nie jako jagnię” staje, lecz „jak lew” i tak oto gromi: „Wasz tron wyniosły burzę... niszcę!.. Bo gniótł, bo dławił, krwił.. Zostaną po nim gruzy... zgłiszczę... Niech ginie — jako żył! Popiołom waszym jęzczyć każę... Przerażać widma krwawe... Niech z wami giną i ołtarze!.. Wzbudź ołtarze — prawe!..” Warto naprawdę.

ODSZEDŁ STEFAN GRABIŃSKI, świetny nowelista reprezentujący w naszej literaturze Poe'owską i Meyrink'owską niesamowitość tematyki. Do najlepszych utworów przedwcześnie zmarłego pisarza należą „Demon ruchu”, „Szalony patnik” i „Księga ognia”.

UKAZAŁ SIĘ POWIĘKSZY NUMER „PROSTU Z MOSTU”. Zawiera on jakby rewję prac tych autorów, którzy od początku istnienia pisma zamieszczali w nim swoje utwory. Jubileusz tygodnika świadczy dowodnie, że „Prosto z mostu” znajduje poparcie czytelników i rozwija się. Bo mimo różnic ideowych, jakie nas dzielą, musimy przyznać, że pismo jest redagowane żywo i inteligentnie.

NOTATKA „ROBOTNIKA” (nr 332) O ZAKUCIU W KAJDANY poety M. Czuchnowskiego, „oskarżonego o jakieś przemówienie i o... wydanie tomu wierszy, który uległ konfiskacie”, notatka przedrukowana następnie w „Wiadomościach Literackich”, nie została dotąd sprostowana. Ale jeśli to jest prawda, dlaczego Akademia Literatury, dlaczego żadne stowarzyszenie literatów nie zabrało dotąd w tej sprawie głosu? Tylko Liga Obrony Praw Człowieka z Andrzejem Strugiem na czele.

W LISTOPADOWYM NUMERZE (76.) „SKAMANDRA” Franciszek Siedlecki zamieścił artykuł o „Przekładach z poezji rosyjskiej”. Temat skądinąd bardzo pożyteczny i potrzebny stał się, niestety, dla autora artykułu areną do niezbyt sympatycznych wycieczek pod adresem J. Łobodzkiego i K. A. Jaworskiego, których przekłady lub spolszczenia nie miały szczęścia podobać się Siedleckiemu. Metoda „pograżania” tych poetów w żadnym bądź razie nie zasługuje na nazwę fair-play. Za sprawdzian wartości tłumacza posłużyła tu autorowi artykułu — „Jesienna miłość” Błoka w interpretacji Podhorskiego-Okołowa. Dlaczego jednak Siedlecki za wzór nie wziął tu przekładu Jesieninowskiego „Lisa” pióra tegoż poety, przekładu, w którym słowa „na gubach kak prielaż morkow” zostały oddane: „w pysku posmak — niby marchwi zgniłej ś pie w” (sic! bo to się musiało zrymować z krwią.) Nie chcemy tu bynajmniej w niczym uwłóczyć Podhorskiemu-Okołowowi, przedniemu poecie i tłumaczowi, wskazujemy tylko Siedleckiemu, że jego broń jest obosieczna: u każdego bowiem, najlepszego nawet, przekładacza mogą się znaleźć wśród rzeczy doskonałych miejsca słabsze. Ale właśnie wyciągać te słabsze spolszczenia dla wysnuć z nich krzywdzących wniosków o wartości czyjejs wieloletniej pracy — nie wydaje się rzeczą właściwą. A gdybyśmy tak, według miłego stylu Siedleckiego, i jemu z kolei kazali wyłożyć „nózki na stół” i udowodnili, że nie zna oryginału wiersza, którego spolszczenie omawia, lub wręcz fałszuje tekst interpretacji? Bo oto Jaworski wcale nie „wydziwiał” dla rymu „mam na głowie kepi”, gdy „w utworze rosyjskim czytamy: „Ja idu dolinoj. Na zatyłkie kiepi” (S. Jesienin: Stichtawarienja, Maskowskoje Tawariszczestwo Pisatielej“ 1933 str. 278), a w „Błękitniku” nie ma „Już blisko wieś już, wabi sen leniwy”, lecz „W pobliżu w wieś już, wabi sen leniwy” (S. Jesienin: Wybór poezji, Biblioteka Kamenny str. 8, a książkę tę krytyk zna, skoro z niej cytuje owo inkryminowane „kepi”). Jak wobec tego wygląda Franciszek Siedlecki, bardzo bądź co bądź zasłużony znawca współczesnej poezji rosyjskiej? — kaj —

PRZYGODA LAUREATA NOBLA pisarza rosyjskiego Iwana Bunina, którego w drodze do Szwajcarii zatrzymano na pogranicznej stacji niemieckiej Lindau i poddano brutalnej, pełnej najwymyślniejszych szykan rewizji, otworzy może oczy elicie pięknoduchów literackich na istotny sens zmian zachodzących w kraju brunatnych koszul.

WEDŁUG INFORMACYJ KORESPONDENTÓW angielskiego dziennika „News Chronicle“ powstańcy wśród licznych zakładników rozstrzelali w Grenadzie między innymi jednego z najwybitniejszych współczesnych poetów hiszpańskich — Frederico Garcia Lorę. „Loria nie był socjalistą, nie brał udziału w życiu politycznym. Był jednak republikanem i szczerze miłował swój naród. I to wystarczyło, by go faszyci zamordowali“.

Wszystkim, którzy byli łaskawi przesać mi gratulacje z okazji przyznanej mi lubelskiej nagrody literackiej im. B. Prusa, składam najserdeczniejsze podziękowanie.

K. A. Jaworski

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. J. DZIER. W KIEKRZU Z uprzejmie nadesłanych wierszy nie skorzystamy.

P. W. SZYM. W JANOWIE LUB. „Ciężar“ wydaje się lepszy od „Cieni“, ale nie wszystko czytelne. Może zamieścimy.

P. R. R.—SAD. W WARSZAWIE Z łaskawie przysłanych wierszy nie skorzystamy. Prosimy o inny wybór.

Numer niniejszy z przyczyn niezależnych od redakcji wychodzi z kilkudniowym opóźnieniem. Zeszyt grudniowy poświęcony Tatrom ukaże się w końcu b. miesiąca.

Ostatni czas odnowić prenumeratę „Kameny“ na rok 1936/37. 5 zł. rocznie, 2 zł. 50 gr. półrocznie. Tym, którzy nie uiszczą opłaty do dnia 20 grudnia,

Złóż ofiarę na Pomoc Zimową

dla Bezrobotnych

Konto czekowe Nr 70 200

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

Quintus Horatius Flaccus: Pieśni ksiąg czworo, przełożył
Tad. Fel. Hahn, Lublin 1936

Wiktor Hahn: Krasicki i Horacy, Lwów 1935

Józef Andrzej Frasiak: Łakami w górę. B-ka „Okolicy
Poetów“ 1936

Czesław Janczarski: Błękitna chusta, Równe 1936

Anna Świrszczyńska: Wiersze i proza, Warszawa 1936

Bunsch-Gorecki-Kudliński: Nowa realizacja Hamleta, B-ka
„Zet“ 1936

Kazimierz Truchanowski: Ulica Wszystkich Świętych,
Warszawa, F. Hoesick 1936

Bronisław Krystyn Wierzejski: Forty na piasku, Warszawa.
Trzaska Evert i Michalski

Stanislav Mecziar: Poezia a život, Matica Slovenska 1936

Vladimir Rolko: Blahoslavenstvo slepych, Knižnica Slo-
venskych Pohliadov 1935

Rudolf Dilong: Hviezdy a smutok, Trnava 1934

Janko Silan: Kuvici, Praha 1936

Emilia Czegrinciewa: Posieszceńja, Skit, Praga 1936

Już ukazał się Nr 9
„Biblioteki K a m e n y“



K. A. JAWORSKI

W P O Ł O W I E D R O G I

CENA 2 zł.

DO NABYCIA W KSIĘGARNI T-WA WYDAW-
NICZEGO W WARSZAWIE, MAZOWIECKA 12.